

Szczęść Boże!

„Szczęść Boże!” – tak zawsze witał nas dziadek Stanisław, co w dzieciństwie niezmiernie mnie zawstydyzało, bo dewocyjne, staroświeckie i strasznie śląskie. Nigdy „Dzień dobry” albo „Dobry wieczór”, na progu mieszkania słyszało się tylko plebejskie „Szczęść Boże!”, chociaż dziadek był obyty i elegancki jak przedwojenny urzędnik państwowy – kuracjusz Krynicy, bywalec Żegiestowa. To śląskie pozdrowienie razilo też moją babcię ze strony ojca, rodem z Podola, szczególnie wtedy, gdy sąsiadki z katowickiej kamienicy przy ulicy Słowackiego łączyły uprzejme „Szczęść Boże!” z siarczystem potrząsaniem jej drobną dłonią. „Jakież to przyziemne i małoduszne – ubolewała babcia – żeby Panu Bogu kazać cudzego szczęścia pilnować. Nie tak się Go chwali, a czy nie można witać się pięknie? Mamy przecież staropolskie pozdrowienie eucharystyczne: «Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!»”.

Chwała i uwielbienie, adoracja i afirmacja – to babcia Tekla rozumiała bez szkół. Szminka i obcasy pomagały jej w układaniu „aktów strzelistych”. Wiedziała, jak Boga kochać i jak ubóstwiać kobietę. Klęczeć umiała przy ołtarzu, śpiewać na szczycie chóru, tańczyć na stole. Już jako dziewczyna w Draganówce pod Tarnopolem w czasie wielkich świąt śpiewała solo w kościele, a nawet w pobliskiej cerkwi, jeśli tylko zaprosił ją pop, lecz długo musieli nalegać panowie oficerowie (wtedy była już mężatką), zanim zatańczyła kozaka, a potem toasty wznosili szampanem, doprawdy, z jej pantofelka. Gdyby rozwiązała kok, jej włosy pewnie sięgnęłyby ziemi, więc pozować mogła do portretu świętej Teresy, też tancerki, i nikt nigdy by nie pomyślał, że urodziła dziewięćcioro dzieci. Jej zdjęcie mogłoby zdobić okładkę lwowskiej gazety, gdyby nie lufa rewolweru, którą dziadek Filip wycelował w fotografa. Tego aktu zazdrości nigdy nie wybaczyła mężowi, bo to był zamach na teologię piękna po brzegi wypełniającą jej serce. Ale na Śląsku nie miało sensu o tym mówić ani myśleć, bo tutaj kobiet nawet nie całuje się w rękę.

Drżałem zatem, kiedy kresowa matka mojego ojca odwiedzała śląskich rodziców mojej mamy. Dzwonił dzwonek, ja drżałem, a dziadek Stanisław pojawiał się w antryju, aby witać gościa solidnym uściskiem i tradycyjnym „Szczęść Boże!”. Jednak babcia nie oka-

zywała rozczarowania, zresztą jej twarz przesłonięta była rondem kapelusza, a niekiedy woalką. On natomiast wzrok miał słaby. Skądinąd słyszał wtedy nie lepiej, niż widział, brakowało mu także włosów i skutecznego leku na sklerozę, lecz śpiewać nigdy nie przestał i co dzień grał na fisharmonii. Przez większość życia angażował się w chórach, a z „Ogniwem” jeszcze przed wojną gościł w Warszawie na estradzie Filharmonii Narodowej. Nic zatem dziwnego, że między teściami moich rodziców mimo odmienności powitań, temperamentu i pochodzenia panował obustronny szacunek, a nawet harmonia. Rozumieć to wolno dosłownie, bo chór parafialny (w randze katedralnego), w którym przez lata śpiewał dziadek, już po jego rezygnacji został wzmocniony głosem babci Teni, zaproszonej przez dyrygenta aż z sąsiedniej parafii (potem w kościele Świętych Piotra i Pawła gościły inne sopranistki – Stefania Woytowicz, Emma Kirby). Żałować tylko można, że babcina koloratura nie spotkała się nigdy z tenorem dziadka, choć przy odrobinie szczęścia było to realne, nawet pod batutą Grzegorza Fitelberga, notabene naszego sąsiada z ulicy Drzymały. Ale mówiąc całkiem szczerze, kiedy jako dziecko w czasie uroczystości rodzinnych stałem wraz z gromadą kuzynów pod kościelnym chórem, wtedy jej popisy wokalne wydawały się niewyobrażalnie śmiesznym i trudnym do zniesienia wyciem. Teraz jednak myślę o babci Tekli jak o Marii Callas, o dziadku Stanisławie zaś – jak o Moniuszce z pomnika na placu Miarki (do którego zresztą był ludzako podobny), choć w rachubę wchodzi raczej chóry anielskie. Daj Boże!